

III Konkurs Literacki Na Kamieniu Kamień - Wokół twórczości  
Wiesława Myśliwskiego

**I NAGRODA**

**Autorka: Ewa Drozda**

**Godło: Grzybnia**

**Bura jesień diabelska**

Nie jest dobrze mieć swoją ulubioną porę roku.  
No, może jak się jest dzieckiem, a biegnący czas przypomina  
radosnego psiaka, na którego spogląda się z ciekawością i  
rozbawieniem. Hop, przeskoczy kałużę, hop, wpadnie w  
błotko. Jak się jest młodym, każdy kolejny dzień jest  
przygodą. Jednak gdy ten mijający czas zaczyna przypominać  
psinę schorowaną, skołtunioną, powłóczącą nogami, przykry  
to widok. Chce się odwrócić wzrok. I wtedy niedobrze mieć  
ulubioną porę roku, bo gdy tylko się rozpocznie, zachodzisz w  
głowę, czy to już ostatni raz?

Ostatnie gołe drzewa, ostatnie ciemne śliwki, ostatnie  
dorodne grzyby...

Janina od zawsze kochała właśnie jesień i tylko jesień.  
Inne pory roku były jesieni służbą - zima szykowała roślinom  
ziemię, wiosna przynosiła pierwsze liście, lato rozgrzewało  
las, by jeżynom rośło się lepiej. Wszystko po to, by późnym  
wrześniem, gdy letnicy wrócą do swoich kurników w dużych

miastach, otworzyć przed nią las pełen bogactw. Oni w domu oglądają swoje zdjęcia, a ona może się od ich widoku uwolnić. Niepokoił ją, jak kury bez ładu krążą, jeszcze coś niepotrzebnie znajdują. Niektórzy nie wyjeżdżali z końcem wakacji, zostawali dłużej, by łowić ryby lub pętać się po jej lesie z koszyczkami z wikliny.

- Piękna ta nasza złota polska jesień! - powiedział raz jeden kogucik, pewnie z Warszawy. Spotkali się w środku lasu. Chciał zapewne być miły. Ale nie dla niej. Chciał być miły sam dla siebie, w swoich wspomnieniach z wyjazdu. Chciał udowodnić sobie, że te wszystkie komputery nie wysały z niego ludzkich odruchów, że potrafi pogadać z prostą wiejską babą. Widziała, że z politowaniem patrzył na jej stare ubrania, wyświechtaną siatkę z marketu, do której zbierała koźlaki i podgrzybki. Nie będzie taszczyć ciężkiego kosza, to nie na jej siły. Obok kogucika szła kura, cała na białą, i też zaczęła coś gdakać.

- Tylko tu na Warmii są takie piękne lasy!  
Ona też już ma odhaczone wspomnienie. Opowie jakimś koleżankom, że taką prostą babę spotkali i miło pogawędzili, bo prości ludzie mają w sobie tyle mądrości, tyle gościnności, żyją skromnie - dlatego tak są szczęśliwi, powinniśmy się od nich uczyć. - Niedoczekanie.

- Wszędzie są piękne lasy - odpowiedziała.

Poszła dalej. Nie ma na to siły. To może jest jej ostatnia jesień, nikt jej nie zwróci zmarnowanego czasu, nie będzie gadać z kimś, kto jest i znika i nic po nim nie zostaje. Las pachnie, ziemia aż drży od urodzaju. Grzybnia trzyma w kupie cały las, cały świat. Oni mówią „grzyby” tylko na kapelusze - ona wie, że to tętniące pod stopami serce.

Ludzie nie mają wiedzy o grzybach.

Tyle tylko wiedzą, że jak zerwą kapelusz borowika, to będzie smaczny i nietrujący. Że będzie pięknie pachniało w domu, że udało się im bez pieniędzy zdobyć coś o wielkiej wartości. Bo ludzie są pieniędzmi przesiąknięci, o niczym innym nie mówią, nie marzą i nie myślą. Młodzi biorą wiadro pieniędzy z banku, wysypują, a potem całe życie biegają z pustym wiadrem bezładnie, żeby je zappełnić i oddać, a nawet jak już oddadzą, to nie chcą przestać. Ludzie żyją pieniędzmi, bo nie potrafią inaczej. Chcą w swoim życiu jakiejs wielkiej służby, Boga chcą jakiegoś, a jeśli nikt im nie wskazał właściwego, to tego wybiorą, jaki jest pod ręką. Wymyślają nowe, byle tylko nie odpocząć, nie usiąść. Wykupują wakacje, wykupują ubrania, babrzą się w tych pieniądzach, byle tylko nie zacząć myśleć. Nigdy tego nie rozumiała i nikt jej nigdy nie przekonał, że to jest normalne.

Oni przecież chcieli żyć inaczej - a skąd to wiedziała? Właśnie z tych spotkań w lesie. Właśnie z grzybobrania. Bo gdy znaleźli coś w lesie, sami, za darmo, bez ceny, bez banku,

bez paragonu, to tak się im oczy świeciły i takie życie w nich na moment wstępowało, jakby w ciemnym pokoju ktoś nagle uchylił kotarę i jakby blask słońca wypełnił bezmyślny mrok ich duszy. Dlatego miastowi kochają grzyby, dlatego kochają złotą polską jesień. Bo nie wiedzą, że tak może wyglądać świat, dla nich to są chwile - a dla niej to jest życie. Z lasu można wyżyć i z miasta można wyżyć, trzeba tylko żyć. A nie gonić. Albo się bać. **Pieniądze nie są najważniejsze. Najważniejszy jest spokój.** Ale to nie jest jej praca, żeby im to mówić. Stracona sprawa.

Janina nie lubiła tej złotej polskiej jesieni, uważała, że to kicz. To dobre dla młodych - wstyd się tym zachwycać. Na początek klony z przestachem wybuchają kolorami, by przy pierwszym wietrze zrzucić wszystkie liście. Nie lepsze brzozy, topole, ledwie zaczną się przymrozki i już uważają, że to zima. Ceniła dęby i buki, które do ostatnich chwil trzymały liście przy sobie, brązowe i suche, ale jednak przy sobie. Aż w końcu wszystkie się poddawały. Dla niej najpiękniejszy był ten dostojny pusty las spowity mgłami, wichrem, błotem i unurzany w brązowych opadłych liściach. Jej sprzymierzeniec. Wszystko scalone grzybnią.

Jak nazwać tę brudną, mokrą i zimną jesień, czy ona ma nazwę? O niej się nawet nie mówi - o niej się milczy. Budzi strach, odrazę, a to właśnie jest prawdziwa jesień. Jej ulubiona

pora roku, która odcedza nieproszonych gości lasu, a otwarta jest tylko dla tych, których chłód i głód nie zniechęci.

Bura jesień diabelska.

Niedobrze jest tak przywiązywać się do widoków i wspomnień. Bo myśli kierują się w złą stronę, nie tu i teraz, a wstecz. Jak jeszcze miała rodzinę, synów, jak chodziła po lesie i wracała z grzybami w koszyku, a mgła osłaniała jej powrót przed spojrzzeniami innych mieszkańców wioski. Wracała, jak najpóźniej mogła, byle nie iść do domu. Dzieci ze sobą ciągała. Las był jej bliższy, w lesie było bezpiecznie. Gadali o niej, a i owszem. Wiedziała. Jak już męża zabrakło, synowie do szkół wyjechali, to też gadali. Ale kto by się przejmował?

- Pani ma na sprzedaż, jakieś grzybki marynowane, suszone? - pytają dwie kobiety, gdy mijają ją pod lasem.

Widzą, że jest miejscowa. Ale grzybów nie sprzedaje.

Śmieszne kwoty by za to chcieli. Za cały rok pracy lasu kilka groszy marnych, aż się odechciewa. Las dla swoich pracuje, swoim daje.

- Sweterki mam - odpowiadała, gdy komuś dobrze z oczu patrzyło - Kaszmir, szetland, merynosy. U mnie w domu, za kościołem.

Chętnie przychodziły. Kurki z Wrocławia, z Warszawy, po piórka nowe, okazyjnie. Kupowały za pieniądze zawrotne, bo tyle warte były te swetry. Dla nich. A znalezione w zwykłym

sklepie odzież na wagę, w piątki, kiedy to cena nie wyższa była niż pięć czy sześć złotych. Odzież skandynawska. To były ubrania z klasą, niesamowite, nie do zdarcia. Ktoś kiedyś je zakupił. Nawet wiadomo kto, oni zawsze mają podpisane te ubrania, chyba w domach starości tak robią: Erika, Marita, Eva... Czuła, jakby je znała. Ponosiły, porwały, poplamity i jakimś cudem, jakimś zbiegiem zdarzeń, trafiało to tutaj. Część pewnie po zmarłych, część wyrzucona ot tak.

Te lepsze kupowali w sklepie od razu.

Tyle że tych dziurawych, brudnych, zagrzybiałych nikt nie brał. Bo teraz ludzie nie wiedzą, co z tym zrobić, nie umieją nic naprawić, każdy by chciał nowe. Czekwały na nią na wieszaku, gdy nieśpiesznie jechała pociągiem do sąsiedniego miasta z walizką na kółkach. Pakowała wszystkie te nieboraki, za pełną walizkę płaciła grosze, a w domu prała je, odpruwała etykiety, odplamiała, cerowała, potem na płasko suszyła w słońcu lipcowym i sierpniowym, tak by na jesień wystawić przed swój dom.

- Pani jest pewna, tylko stówkę? - pytały warszawianki, a świeciły się im oczy. Myślały, że Janina nie wie, ile warte są te swetry.

- To jest prawdziwa angora? - podejrzliwie przesuwają sweterkiem po policzkach

- Do córki dzwonię, wezmę jej.

Nawet im nie odpowiadała, tylko się uśmiechała.

I kupowały. A czego nie wykupiły, to sprzedawała miejscowym.

To nie były małe pieniądze, szło na opał, szło na światło, a czasem też na pizzę z tej nowej restauracji, którą niedawno otworzyli we wsi. Liczyła pieniądze, wrzucała w słoik, tak jak to kiedyś jej mąż, jak jeszcze żył, robił. Tylko że on ten słoik przed nią chował, bo w jego domu tak się robiło, a ona nie musi pieniędzy chować. Może je wydać, zanim umrze. Zawsze ma ich dużo w tym słoju. Tym samym.

Janina nie wiedziała, ile jej jeszcze życia zostało. Bała się, że umrze latem i nie doczeka jesieni.

Śmierci się nie bała. Śmierć dobrze znała.

Dlatego teraz postanowiła, że każdą jesień przeżyje jak ostatnią. Oszczędzać nie będzie, marznąć nie będzie, żałować sobie niczego nie będzie. Pójdzie tam, gdzie jej mąż leży, skąd ona grzybów ani jeżyn nie zbiera i ostatni raz upewni się, że nie wylazł, że tam jest, gdzie go zostawiła w noc listopadową. Za to, ile jej życia napsuł, ile jej jesieni zmarnował, jak synków bił, straszył, jak ją nękał, to dobry los go spotkał. Wyprowadziła go niby na zgodę, na grzyby, wypił

cytrynówkę, wypił aroniówkę i jak usiadł, tak nie wstał. Las szumiący, miękki mech, jagody wkoło, sama wiele by dała, by nie leżeć w tej skistej ziemi w betonowej wannie na polu pełnym trupów.

Też by tak chciała w lesie.

Ale jeszcze jest na tym świecie. Już tyle lat tak szczęśliwa.

Bo ile trzeba? Napalić w piecu i leżeć w domu własnym, w spokoju, bez strachu, bez bólu, krzyku. Spojrzeć przez okno na świat, jakim jest naprawdę - bez kolorów, bez słońca, bez nieba. W chłódzie, głodzie i wilgoci, jak odśłania swoją prawdziwą twarz. Że ludzie tylko dla pieniądza żyją, za nic innych mają, tylko na siebie patrzą, że może człowiek zamarznąć w noc listopadową w lesie, a nawet szukać nie będą, wystarczy powiedzieć, że wyjechał, że wysyła pieniądze, nie zaginął. Nic nie chciała od tych ludzi.

Ale coś Janinie podpowiadało, że do jej końca jeszcze daleko. Jak człowiek śpi spokojnie, zdrowo żyje, grzyby jada i ze śmiercią już raz wszedł w umowę, to nic go nie weźmie. Tak się pocieszała. Że ta jesień nie będzie ostatnia, ani ta za rok, ani kolejna.